



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych, po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60, kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

Ekspedycja główna w księgarni wydawcy
Krakowskie-Przedm. Nr. 411 (awy 7).

W Cesarstwie Austriackim: we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartal. flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 60.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebarta i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

O TEM I OWEM

PRZEZ

Anastazyę Dzieduszycką.

I.

Nowe kierunki kobiety.

(Dokończenie).

Piśmiennictwo nasze, ku wielkiej swej chlubie, nie liczyło dotąd w gronie swych pracowników ludzi, których jedynym do wziętości prawem byłoby wystąpienie zuchwałe i jaskrawe przeciw porządkowi społecznemu i moralnemu, przeciw wszystkiemu co zacne, święte i czyste, prześciganie innych w obrazach społecznych odrażających cynizmem i zepsuciem; ludzi szpecących inne piśmiennictwa, odstraszających od nauki i literatury. Naprawdę chcąc uniewinniać takiego Houssaya, Gaborieu, Feydeau i tylu innych, głoszą, że malują świat jakim jest, dla wzbudzenia odrazy do zbrodni i występku. Jak kara śmierci nie odstrasza od zbrodni, tak obrazy zepsucia z niego nie leczą—a jakże poziomym musi być smak, jak potwornymi umysłowe pragnienia społeczeństw, które w podobnych utworach zaspokojenie literackiej potrzeby czytania znajdują? Przekłady niestety, przekłady chcą wierzyć nierozmyślnie dokonywane, roznoszą plody tych piór skalanych pod nasze słomiane strzechy, otwierając przed ich mieszkańcami światy, o których istnieniu, o możliwości których pojęcia nieraz nie mieli. A jakie to światy!

Wielka odpowiedzialność ciąży na tych, którzy się do szerzenia takich utworów przyczyniają, i jedyną ich, jak powtarzam, wymówką jest to, że nie wiedzą co czynią. Z drugiej strony wielkie uznanie

należy się pisarzom naszym, iż nie skazili swej godności puszczeniem się na drogę rozgłosu tak łatwego, jak owoc jego jest zatruty. Jest w tem niezaprzeczona wyższość nasza, jest może rękojmią, że jak nasi poeci byli ostatnimi wielkimi piewcami tego stulecia, tak znowu pierwsi staniemy na czele odrodzenia piśmiennictwa.

Kobiet piszących zadaniem jest przyłożyć się do tego pracami swemi, wszystkich zaś kobiet powołaniem podnieść smak ogółu, jego estetyczne zamiłowania uszlachetnić. — Musimy drukować to, co pożyteczne—mówił mi pewien wydawca—musimy w literaturze lekkiej głównie tonąć, a tam jeszcze wybierać rzeczy jaskrawe, chwytac się nędznych płodów takich piór zagranicznych pisarzy, chcąc, aby książki się rozchodziły. Publiczność chce tych korzennych przypraw, wrażeń gorących, zaciekawienia dziecinnego. Ileż do poważniejszych weźmiemy się rzeczy, tracimy czytelników.... A ponieważ kobiety u nas przeważnie czytają, było to oskarżenie przeciw nim wymierzone. Ich rzeczą zaprzeczć temu czynem, miłować tylko piękno wyższe i przez to uczacniające....

Rzemieślnictwo pisarskie dotąd znane głównie na zachodzie. Publiczność czytająca urosła tam nagle w liczbę, mniej pytała o jakość, jak żądała ilości, rozmaiłości i nowości. Łakomie o zepsutem podniebieniu nie szuka istotnego w potrawach posiłku, ani smaku nawet, lecz drażniących pierwiastków; tak publiczność nie nauki, nie umysłowych i duchowych rozkoszy, lecz wrażeń, drażnienia nerwowo-zmysłowego szukała. Dlaczego się tak stało, dlaczego tłumy chciwe czytania nie zostały zarazem przygotowane do czytania dobrego, do moralności w gustach i zamiłowaniach swoich, to kwestya inna, którą trzeba zostawić w tej chwili na boku. Tu wskazać mi tylko trzeba, że grono ludzi ani ukształceniem umysłowym, ani wyrobieniem moralnem nie przygotowanych do autorstwa, nie zdolnych do prac piśmienniczych innych, rzuciło się do szukania na tem polu zarobku i tego, czego inne zawody rzemieślnicze rzadko dają—rozgłosu. Lecz nie każdy, z tych nawet, którzy wyższe, klasyczne otrzymali wykształ-

cenie zdolny jest pisać i tworzyć, nie każdy jest namaszczon na pisarza, a natchnienia czekać nie może, kto na pewien dzień i godzinę musi wygotować co wygotować postanowił, nie może nawet przygotować pracą zastąpić brakujących mu zdolności, a może nawet takowe rozpruszyć, i łatwo utonąć w powszedniości, wyczerpać się i siły twórcze osłabić. Wiemy też, do jakiej mierności i pobieżności zeszły tam prace literackie, wiemy do jakiego stopnia posunięto tam rzemieślnictwo, jak kilku autorów składa się na utwór jeden, jak powieści piszą się na obstalunek, po tyle a tyle wierszy, ile ich dla wymagań wydawcy jest potrzeba. Edmund About pisać słówko pośmiertne o Ponson du Terrail, wnieść w nie opis, jak płodny ten wyrabiacz powieści udawał się do bióra jakiego dziennika, i tam pisał w kolej felietony do trzech, lub czterech czasopism, najodmienniejszej treści, ducha, założeń, a pomimo niezwyklej w tem wprawy, zdarzyło mu się, iż już raz umorzywszy bohatera powieści, wskrzesił go przez zapomnienie po kilkunastu dniach przerwy. Prztem autor dbając jeno o pożyteczność, o dogodzenie publiczności, nagina swój talent i przekonania do jej najniesłuszniejszych zachcianek. U nas podobne nadużycia do wyjątków dotąd należą, niemniej można się obawiać aby się nie mnożyły w miarę wzrastania ruchu wydawniczego. Upodobanie czytającej publiczności w dziennikach i powieściach, przyczynia się wielce do szerzenia się tego błędnego kierunku. Na pracę naukową, historyczną, na dramat nie każdy się porwie, choćby miał i zarozumiałość potemu, w poezyi nie smakują umysły niższe, realizmem przesiałe i realizm na sztandarze swym wywieszające. Ale powieść, ale artykuł do pewnego rodzaju czasopism, wydaje się każdemu rzeczą łatwą: trochę słów szermierki i zdań pochwytyanych mogą się złożyć na jedne, gdy drugie dadzą się skleić ze spletnych obrazów namiętności, gorąco przesadnym stylem kolorowanych, wreszcie z szyderczych sarkazmów na to, co nam w życiu zawadza. Często usprawiedliwienie nas samych w postaciach podobnych do nas bohaterów jest powieści celem głównym, a tło jaskrawie oświecone, odbija te postacie w nienatu-

ralnych zarysach, które proste umysły nieprzygotowanych czytelników bałamuca.

Ustrzegą się rzemieślnictwa literackiego kobiety, jeżeli temu zawodowi oddawać się będą, dopiero uczuwają ku niemu nietylko istotne zamiłowanie, powołanie że tak rzekę, ale zarazem przygotowawszy się do sumiennej i gruntownej pracy. Ogólnym prądem obecnej chwili jest przecenianie wartości i wpływu wiedzy i słowa, a poniżanie czynu i uczucia. Oby mu kobiety nie uległy. Oby nie sądziły iż gdy zaczerpną cokolwiek wiedzy w wyższych naukowych zakładach, w kółku rodzinnym nie znajdą pola do jej zastosowania i użycia. Oby auterka nie patrzyła z lekceważeniem na matkę niby prostą, dlatego, że zużywała życie swe kropla po kropli w licznym rodzinnym gronie, aby nie sądziła że jest pokrzywdzona, gdy obowiązki niewieście, piękne, święte, szlachetne obowiązki, nie dadzą jej się w wir życia działającego na zewnątrz rzucić, gdy pióro jej wytrąca z dłoni. Nie to tylko czynem i zasługą co się da zmierzyć, zważyć i opisać szczegółowo przez biografów i kronikarzy dziennikarskich. Są wpływy i działania ciche i nienjęte, a przecie znaczne, zbawienne i święte wpływy, które kobieta w każdej chwili, w każdym miejscu i położeniu wywierać może. Są to wpływy wyższych niewieście serc i umysłów, na wszystko co je otacza; wpływy które mogą nadać całemu społeczeństwu barwę powagi, podniosłości lub lekkomyślności, zepsucia smaku i braku godności; wpływy którym cześć oddają dziejopisowie, przebiegając różne okresy historii. Wielcy ludzie zaś, cofając się pamięcią do lat dzieciństwa lub młodości, i odtwarzając w swej pamięci poważne postacie matek, łagodne lub urocze obrazy żon i kochanek, pod których technieniem duch ich budził się, wznosił i rozwijał, świadczą o nich nie fałszywym już świadectwem. Są to wpływy błogosławione które odczuł na sobie Augustyn święty, które Dante mu dały widzenia niebios, które Brodziński wspomniał z rozrzwinięciem, przed którymi topnieje zimny umysł Milla.

Kobieta dość dojrzała duchem, by pojąć swe życiowe powołanie, nie rzuci się lekkomyślnie na pole autorstwa; gdy przecież z rozważą oberze ten zawód, nie potrzebuje bynajmniej poprzestawać jedynie na belletrystyce, jak to jej dotąd powszechnie radzono, uwzględniając niby wrodzone jej umysłowi zdolności. Umysły i talenta obdarowane istotnie iskrą twórczą, same znajdują i wybiorą trafnie właściwe im drogi. Dla ogółu przecież kobiet, nie tak genialnych a niemniej chcących się pracy pióra poświęcić, chcących wypróbować swe siły, wskazałabyśmy po przygotowaniu się poważnym i sumiennie pracowitem, po nabyciu wiedzy odpowiedniej i stałych przekonań, gruntownych pojęć o świecie: o Bogu, ludziach i rzeczach — pracę w kierunku naukowym. Wprawdzie ważnych prac źródłowych, odkryć posuwających naukę, jeszcze się od nich ani spodziewać, ani wymagać możemy, bo na to i przygotowań wysokich i niepospolitych zdolności potrzeba. Ale mogłyby uprzystępniać i upowszechniać wiedzę (popularyzować ją) nietylko dla dzieci i młodzieży, ale dla ogółu czytelników, nielubiących się mozolić nad suchymi naukowymi dziełami, często niemających potrzebnego na to czasu, albo przygotowawczych wiadomości. Dzieje nasze, zawarte dotąd w suchych księgach, najpiękniejsze postacie historyczne czekają by odżyć w artystycznie kreślonych obrazach pióra, piśmiennictwo nasze tak bogate w arcydzieła, a przedstawione przez mężów zarówno wielkich duchem i czynem obywatelskim jak słowem — oto obszerne pole żniwa i materyał bogaty!... A dzieje obecne, piśmiennictwa — to rozszerzone pola tego przestworu, które o wiele lepiej byłyby nam znane, gdyby lekkie a wdzięcznie obrazujące pióra ujęły w rysach prawdziwych i starannie wykonanych ważne ich chwile i postacie. Jeżeli kobiety chętnie się garną do powieściopisarstwa w imię wrodzonego im artystyzmu, tu przedstawia się niemiennie właściwe pole do zużycia go: tylko technienie artysty wskrzesza przeszłość.

Pole nauk przyrodzonych zapewne nie mniej powabno mieć będzie dla umysłów i piór niewieście, ale i położą one na niem zasługi tylko w miarę gruntowności i ścisłości naukowej. Słusznie sądzą uczeni, że wprowadzenie tego działu nauk do programu kształcenia początkowego i średniego, do pism nie ściśle naukowych, niemały przyniesie uczącym się

i ogółowi pożytek. Lecz niestety z gorączkowym pośpiechem rzucono się do tych nauk, a ponieważ więcej niż inne wymagają ścisłego badania, wzywają do specjalnych i gruntownych studyów, nie mając na nie czasu, siły i chęci, nieraz weale samych nauk tych nie znając, chwyceno się filozoficznych o nich teorii; a jeszcze skwapliwiej teorii psychologicznych, moralnych, socjalnych wypływających niby ściśle z tych naukowych danych. Wieluż mamy takich stronników Darwina i metody pozytywnej, którzyby mogli jasno i śmiało wyłożyć, na jakich podstawach naukowych oparte są ich teorie, jaka jest wartość i pewność podstaw owych?

Czem brak wyższego ideału w poecie, artyście, powieściopisarzu, ten brak naukowej sumienności w uczonym, lub tym który chce za takiego uchodzić. Tamten psuje, osuwając z obrazami moralnego upadku, lub poniża przez ściąganie czytelników na poziom niski, pospolitą przez pospolitość, wyższą myślą nie przenikając; ten zatruwa duchy sięjąc zwątpienie w imię źle pojętej i niewłaściwie użytej nauki. Cóżby powiedziano o chemiku, któryby przygotowawszy jakieś doświadczenie, napełniwszy swe retorty różnemi gazami, wezwał pierwszych lepszych przechodniów, i niewiedząc czy doświadczenie skończy się jaką szczęśliwą kombinacją pierwiastków, czy wybuchem życia zagrażającą, powierzył im dalsze prowadzenie doświadczenia? A nie także czynią ci, którzy hipotezy i przypuszczenia oparte na faktach, niestwierdzonych dostatecznie, rzucają tłumowi jako pewniki?

Chcąc przecież przejść z pola lichych ramot o niczem, z pola powieści, których nie podpira wyższy pogląd na życie, rozum psychologiczny, ani nie podnosi natchnienie poetyczne, nie przenika uczucie ani artyzm talentu prawdziwego, w szranki poważniejszej, potrzeba umysłowi wstrzymać się wcześniej od wszechstronnego bujania, i po nabyciu wykształcenia ogólnego ograniczyć się do badania pewnej obranej gałęzi wiedzy, zgłębiania jej i wyczerpywania. W skupieniu leży siła.

Nie ma to znaczyć, by czas powieści minął — umysł ludzki raz zdobywszy kształt pewien dla swej myśli, nie porzuca go prędko i łatwo. Wreszcie nietylko powieści nosi na sobie cechy upadku: poezya, dramat współczesny również piętnuje się tem, co by można nazwać rozkładem. Duch twórczy, myśl twórcza zamaryły zda się w dziedzinie słowa poetycznego: zbyt drobiazgowo rozkładamy i analizujemy, sądzymy i krytykujemy świat i nas samych, abyśmy tworzyć mogli. Umiejąc nawet cenić przeszłe piękno, wcielić piękna obecnej chwili mało kto umie. Gdy myśl nowa w nas powstaje, gdy uczucie w piersi zawre, gdy przed wyobraźnią snują się obrazy oświecone niezmiernym światłem, nie wypowiadamy śmiało i prosto tych natchnień gorących, lecz tych niezwykle gości stawiamy przed zimnym sądem rozumu powszedniego i obcinamy, i przymierzamy, i ubieramy w suknie modne i przyzwoite, aż wreszcie wyjdą z rąk naszych nacechowane piętnem pozioomości. Często bywa odwrotnie: nie czując w sobie natchnienia budzimy talent niebyły, by skończyć na naśladownictwie sarkazmów Heinego i paradoksów Musseta.

Ale najgorzej już, gdy nie wiemy nawet kogo naśladować, do czyjej szkoły przystać, czym śladem iść przez dziedziny sztuki i myśli twórczej? Porywając się niby do Pegaza, stajemy jednak w obozie tych, co wszelkim górnym szlakom przeczą, i nie zdają się w grubym materyalizmie swoim dostrzegać nic nadto, co na twardym gruncie ziemskim pospolity utylitaryzm zdzielać może. Zdawałoby się, że kobieta przez samą siłę uczucia, które jej w ogóle przysadzają, przez jego tklivość i delikatność jużby najmniej do tego kierunku skłonna być powinna. Nie jest tak przecież, nie jest na nieszczęście, bo istnieje wiele kobiet i tego uczucia i tej jego delikatności pozbawionych, a które są tem więcej na niebezpieczeństwo złych wpływów narażone, im niższy jest stopień ich wykształcenia umysłowego. Niech tylko pochwyć coś nowinek wieku, jak mówiono niegdyś, niech to pochwyć nie przez bystrość myśli, która pokarmu cheiwa wszystko garnie, aby przetrwać w sobie, ale przez zmysł pospolitej ciekawości, która z próżnowania i przebywania w próżni się rodzi — niech to złączą z samolubną chęcią zwolnienia się z obowiązków kobiecie nakazanych, a które u nas siła tradycji rodzinnych w kobietę zacną od dziecka

wszczepia, a już gotowa stroniczka teorii niby nowych, których gruntu ani zna, ani nawet nigdy znać nie chciała. Do pospolitej a zimnej natury, materyalizm prędko przypadnie, próżność, fanfaronada, zarozumiałość nakoniec da pióro w rękę; belletrystka, dziennikarstwo zdaje się przedstawiać formę łatwą do „wyniesienia się nad przesąd“ i oto geniezis tych pisarek niefortunnych, których każde zjawienie się tylko ze smutkiem wielkim nad niemi samemi witać trzeba. Bóg tak stworzył kobietę, że prędzej czy później każda z tych, które chcą żyć tylko na pozytywnych rzeczy poziomie, uczuje w sercu wielki ból, żal wielki za podeptanymi ideałami.

Mamy przecież nadzieję niepłonną, że zjawione u nas wywołają tylko szum chwilowy i zaświetnięją jedynie w kółku pewnym, bo ogół społeczeństwa naszego zbyt jeszcze trzyma się w pojęciach swych o kobiecie szlachetnej idealności, aby pisarki puszczające się w tym kierunku mogły zrobić karierę literacką w szerszym tego słowa znaczeniu. Powiem więcej: u nas nawet wysoki talent, nawet genialność pióra, któreby chciało oddać w posługę dążeniom materyalizmu, jeszczeby nie pomogło kobiecie. Marya Dudevant, jako Jerzy Sand, nie byłaby u nas możliwą.

Że była możliwą we Francji — widzimy dziś skutki.

ZARNICA

POWIEŚĆ BULGARSKA SPOŁCZESNA

PRZEZ

Teod. Tom. Jeza.

(Dalszy ciąg).

Jakoż, w rzeczy samej, bawiły się. Doktorowa przyjęła system nauki osobliwy. Zabawa, a śród zabawy nauka wkładała się w umysły dziecinne niepostrzeżenie, od razu pod formą pisania. Uczyła najprzód pisać nie pokazując abecadnika weale. Z liter składała wyrazy, dobierając takie, które działwę zajmowały i doprowadziła w krótkim czasie do tego, iż każde pisać się nauczyło wyrazów tyle, że w nich miało alfabet cały. Od pisania przeszła do czytania, od czytania do abecadła. Za mosty do przechodów służyły dykteryjki bądź z prawami natury, bądź z dziejami rodzaju ludzkiego, bądź z obowiązkami styczeń mające. W dykteryjkach tych ważną rolę odegrywały litery, sylaby, prawidła językowe, liczby etc. W ten sposób działwa chłoneła w siebie wiadomości różne, podawane jej pod postacią przysmaków i robiła postępy olbrzymie, nie wiedząc prawie, że się uczy.

— Ty się uczysz? — zapytał razu pewnego chłopaka jednego Kir-Michałaki na ulicy.

— Nie, odparł zapytany.

— Chodzisz przecie codnia do doktora?

— Chodzę do doktorowej.

— Cóż tam robisz?

— Śmieję się z innemi dziećmi.

Śmiechem, żartami nauczyła się działwa pisać, rachować i dowiedziała się wielu ciekawych i pożytecznych rzeczy. Stało się to w rok równo, a rok ten upłynął, jako chwila jedna, na śmiechach i żartach, którymi brzmiała ustawicznie izba, zamaskowana apteką. Tam doktor przyjmował chorych i preparował lekarstwa, tam doktorowa szczepiła płonki wiedzy.

— Cóż? — zadawał jej mąż pytanie niekiedy.

— Idzie.

— Bylebyś nie ustała.

Na uwagę tę, kobieta ramionami wzruszała, jakby przez to okazać chciała, że sama sobie nie dowierza.

I nie to w niej na podziw zasługiwało, że uczyła i nauczyła, ale to, że nie ustawała, to, że się zdobywała na heroizm wytrwałości.

Nie łatwiejszego, jak zrozumieć, co jest pięknem i pożytecznem; nie nie jest łatwiejszego, jak porwać się na dzieło piękne i pożyteczne; nie trudniejszego,

jak wytrwać w przedsięwzięciu, nie mając podniety w czem innym, jeno w rozumieniu własnym.

Postanowienia, och! postanowienia!... Dałoby się o nich mówić i pisać bez końca. Płyną one ze zrozumienia, przychodzą, stają w majestacie wielkim i... obracają się w niwecz.

Doktorowa nie miała podniety innej, jeno samo rozumienie. Zrozumiała, postanowiła i wytrwała, pomimo, że sama sobie niedowierzała.

Bo też się porwała na rzecz arcydudną. Ze świata ucywilizowanego zesłała w świat półdziki a zupełnie ciemny, i w świecie tym zamiast jaśnieć blaskiem, co był w niej, zamiast hołdy odbierać, które by jej nie ominęły, otoczyła się działywą cudzą i uczyła czytać, pisać i rachować. Uczyła dzieci! Do tego zazwyczaj biorą się ludzie, co sami nie umieją. Jestto funkcyja Stojanów, i na jej miejscu każda, gdyby myśl szerzenia oświaty pomiędzy spółziomkami powzięła i takiego Stojana pod ręką miała, toby się nim wyręczyła. Komuż bo by się Stojan nie wydał umyślnie na bakalarza stworzonym? Pilny, gorliwy, przytem cierpliwy — cierpliwości dowody dawał w czytaniu dzieł medycznych, pisanych w językach niezrozumiałych — umiał czytać i pisać; uczyłby, zwłaszcza, że sam się na to nastęrczał. Doktorowa jednak odrzuciła ofiarę jego; sama na siebie ciężar włożyła i szła pod nim z uśmiechem na ustach, z po za którego nieraz przebiegały się łzy.

Co łzy te znaczyły? — nie wiem.

Widował je niekiedy mąż, zbliżał się, składał na jej czoło pocałunek, wzdychał i odchodził.

Widowała je Elenka. Ta zrazu pomagała siostrze płakać, sama niewiedząc dla czego. Z czasem jednak zachciała o przyczynę dowiedzieć się. Łzy, rzecz ciekawa. Odważyła się więc raz pytanie siostrze zadać:

— Ty płaczesz, Marico, powiedzże mi czego?

Doktorowa na odpowiedź głową pokiwała.

— Czy ci żal za czem?

— Może.

— Za tym przyjacielem z piękną duszą?

— Żal mi i za nim.

— Ale nie za nim jednym?

— Na cóż ci ta wiadomość?

— Czy ja wiem, na co! Jak w oczach twoich łzy widzę, to i mnie się na płacz zbiera i wówczas, nie wiem czemu, przychodzi mi na myśl ten przyjaciel... Gdzie on? Co się z nim dzieje?

Korzyś z tego była ta, że Elenka myśli sobie mister Waytonem zaprzętała, mister Waytonem, piękniejszym w wyobraźni jej dziewczęcej i oblewającym się, niby nimbem, jakąś jasnością osobliwą, promieniącą z ogniska pięknej duszy. Dziewczyna myślała o nim, marzyła, płakała nawet za nim, w tem przekonaniu, że żal siostry podziela.

X.

Odkrycia niebezpieczne.

Z tego, cośmy przy końcu poprzedniego napisali rozdziału, pokazuje się dowodnie, że droga którą doktorowa szła, nie różami była wystana. Znajdowały się na niej ciernie i kolce, których obecność zdradzała się sama przez się będąc następstwem naturalnem rodzaju zajęcia. Dość wyobrazić sobie kobietę wykształconą, mogącą być ozdoba towarzystwa wykwiutnego umiającego ją ocenić, w położeniu doktorowej. Nie jedną na jej miejscu opanowałyby rozpacz, a przynajmniej czarna melancholia. Ona — popłakiwała tylko niekiedy i szukała sobie pociech, które znajdowała w sukcesach, jakie w pracy swojej osiągała, a które nie ograniczały się na dzieciach samych. Nauki, dzieciom udzielane, oddziaływały i na dorosłych mieszkańców Zarnicy. Oświata jest zaraźliwa, zwłaszcza gdy od spodu idzie. Dzieci znajdują się na spodzie. Od nich też wiadomości, o których w Zarnicy wyobrażenia dawniej nie miano, szerzyły się, rozchodziły, pojęcia się wyrabiały powoli, co się działo w ten sposób, że nauka, jaką doktorowa w umysłach dziecinnych szczepiła, nie była to formularność mechaniczna, lecz nauka życia, przydatna zarówno dzieciom jak starszym, znajdująca zastosowanie bezpośrednie, natychmiastowe. Odbijało się to szczególnie na otoczeniu jej najbliższem,

zwłaszcza zaś na Elence, która z nią była prawie nieodstępnie. Dziewczyna rozwijała się duchowo, kształciła się, sama nie wiedząc, jak się to działo. Było to dla doktorowej pociechą wielką. Znajdowała się w położeniu siewacza, widzącego jak kiełkują ziarna, które on w rolę rzucił.

Porównanie to podchwytujemy i powiadamy, że stosowało się ono do niej literalnie.

Doktorowa rozumiała zadanie swoje. Była siewaczka, mając do wyboru jedno z dwojga: albo siać w roli uprawnej, albo siać w nieuprawnej. Dla pierwszego należałoby jej pozostać na Zachodzie; dla drugiego musiała się przenieść do Bulgarii. Wybrała to ostatnie — czemu? Raz dla tego, że radziła się sumienia, które jej powiadało, że jest dłużniczką w obec kraju własnego, powtóre dla tego, że zdrowy rozsądek mówił jej, iż pole nowinne lepiej wynagradza trudy i prędzej powraca nakład. Pod jaką wynagrodzenie przedstawiała sobie postać, o to mniej szał. Przypuśćmy, że przedstawiała je sobie nie pod postacią zaspokojenia sumienia, ale przeciwnie, jak najpoziomiej, jak najrealniej, w kształcie monety brzączącej. Tak czy owak, czyby była tylko sumienna, czy też wyłącznie interesowna, wiedziała, że najwłaściwszem dla siebie jej polem była Bułgaria a najpewniejszym do osiągnięcia pożądanego owoców sposobem, jak najlepszy gatunek ziarna. Porównanie przeto, za pomocą którego określiliśmy położenie jej, stosowało się do niej, literalnie.

Siała w nadziei zbierania owoców.

Siała z rachunku.

Szła po drodze kołczastej i ciernistej, po jakiej idzie pracownik każdy i doznawała pociechy w oglądaniu kielków, które plon zapowiadały. Pociechy takiej każdy doznaje pracownik.

Położenie jej jednak, na gruncie, na którym odbywała się działalność jej pracownicza, różniła się we względach pewnych od położenia pracowników, prowadzących czynność swoją w społeczeństwach znajdujących się w normalnych bytu warunkach. Inni pracują na takiej lub owakiej niwie: ten pługiem, ów młotem, tamten piórem lub nauczaniem — i zapewnią sobie pomoc wszelką; ona z pracą swoją ukrywać się musiała, jak ze złośliwym jakim.

Złośliwstwo to wszakże nie ściągało na siebie uwagi zwierzchności. Początki onego były takie drobne! a przytem popełniała je kobieta, kobietą, którą na Wschodzie uważają za zdolną do wszystkiego, tylko nie do takiej rzeczy, jak szeregienie światła. Bardziej zajmowano się doktorem, którego się potrosze obawiano, z powodu stosunków jego z Anglikiem turystą. Mudir nie wiedział, jak się do niego wiać. Poleciał Kir-Michałakiemu dowiedzieć się: co on w pakach przywiózł i czekał na rezultat, z którym Grek zwłóczył, chcąc rzecz tę przeprowadzić bardzo mądrze i przebiegle. I perswadował. Myślał, że doktor będzie się ukrywał z tem, co paki zawierają w sobie, myślał, że same paki przechowa gdzieś daleko; przypuszczał w nich bowiem coś zakazanego:

— Ogrę — medytował. Małe puszkki, takie co bez nabijania strzelają bez końca (rewolwery zapewne)... Harmaty może... A może proch, albo bomby... Kto wie... Bułgarzy teraz gotowi na wszystko.

Wyrazy ostatnie ściągały się snadź do ruchów insurekcyjnych, jakie się tu i ówdzie w Bulgarii objawiać począły.

Z tego powodu Kir-Michałaki postanowił brać się do dzieła z ostrożnością jak największą, podśledził, podglądał, zachodził do domu Szumlańskiego zniemacka we dnie, podchodził ukradkiem w nocy, rozwinał energię całą podśledchu i w końcu dokazał tego, że oglądał pod szopą paki próżne.

— Cóż w nich było?

Rozwiązanie tej zagadki stało się bardzo trudnem. Tintuindzi chwycić się musiał podstępem ostatniego... Udał że potrzebuje pak próżnych i zgłosił się do doktora, mówiąc mu, że słyszał, iż on takowe posiada.

— Posiadam...

— Nie zechciałbyś mi ich odstąpić?

— I owszem.

— Możliwe że obejrzyć?

— Czemu nie. Leżą pod szopą...

— Gdybyś poszedł ze mną, tobyśmy się wnet i o cenę umówili.

— W tej chwili czasu nie mam (doktor miksturę gotował), ale poproszę szwagra mego, Stojana, ten mnie wyręczy.

Greki ze Stojanem udał się pod szopę. Kir Micha-

łaki z uwagą wielką oglądał paki, chcąc zapewne z pozoru ich domysleć się, co zawierały wewnątrz. Przypatrywał się znakom, literom i cyfrom z tych nie-które wydawały się mu kabalistycznymi. Uderzył go szczególnie kwadrat ukośny, z punktami na wierzchołkach kątów, przekreślony nawkrzyż.

— Co to znaczy?... — zapytał.

— Hm... Co to znaczy!... — odrzekł Stojan, dla którego także znak ów był zagadką. To znaczy coś takiego, o czem, gdybym ci przez trzy dni i trzy noce pisał, tobyś jeszcze nie wiedział.

— E?... —

— Boga nie... To tak przyszło... Pieczęć...

— Jaka?

— Pieczęć i tyle.

— Czyja?

— Może cesarska, może królewska... Ale, o tem by wiele gadać... Rozumie się, że z pieczęciami pak tych nie weźmiesz, bo kto wie...

Stojan mówił to w dobrej wierze. Ważność znaków tych, których nie rozumiał, przedstawiała się mu w skutek zapytania Tintuindzego; zapytania, które w Bułgarze obudziło niedowierzanie względem Greka. Grek na kwadraty uwagę zwrócił, kwadraty więc owe muszą coś znaczyć, a zatem należy o nie z Grekiem się potargować.

Coś podobnego zaszło z przegródkami i przekładzinami wewnętrznymi, znajdującymi się w pakach niektórych. Doktor przewoził naczynia kruche, wymagające upakowania starannego. Stąd pochodziły przegródki i przekładziny, które Greka zafrasowały...

— A toż co?

— Ha ha!... co to!...

— Na co to tu poprzecznicze i kraty?

Stojan za boki się wziął, uważnie w paki się wpa-trzył i pomyślawszy przez chwilę, odparł:

— Na to, ażeby się głupcy dziwowali...

Greki nosem czmychnął. Gotów był Stojanowi, jak to powiadają, pięknem odpłacić za nadobne, lecz się powstrzymał. Oglądał paki w milczeniu i po chwili, z innej zaczął beczki.

— Jak to zaraz widać, że nie tutejsze: i drzewo inne, i robota inna... A ewieki!... hm... ewieki!...

— Choć w głowę je wbijaj — dorzucił Stojan.

Greki i tę ukośną przymówkę milczeniem pominął...

— Widać, że to francuzka robota...

— Nie koniecznie francuzka...

— Jakaż?...

— Angielska może...

— Angielska... a... tak... prawda... Anglik turysta z pakami przyjechał, to i paki z Anglii... Hm (ogłędając mówiąc niby do siebie)... robota na urząd... Nie wiem tylko...

Tu się nachylił i wachać począł.

— Hm...

Głową kręcił, przekrzywiał i namyslał się. Stojan przypatrywał się temu z zadziwieniem nie-jakiem.

— Hm — bąknął Grek.

— No?...

— Woń jakaś...

— Jaka?

— Nie wiem... Powąchaj...

Stojan nachylał się, w każdą pakę kolejno nos wkładał i wachał.

— Nie czujesz?

— Cóżbym czuć miał!.. Drzewo... deski sosnowe i lipowe.

— Deski swoją drogą, a woń jakaś swoją... Musi ona pochodzić od tego, co w pakach było.

— Cóż w nich było?

— A... ja nie wiem. Ty wiesz.

— Wiem, bom sam rozpakowywał. Były książki, lekarstwa, naczynia różne — powtórzył Grek z akcentem niedowierzania. Nie może być!...

Było coś jeszcze.

Stojan zaklął się na duszę i na krzyż święty, dla stwierdzenia prawdy słów swoich.

— Skądżeby się książek nabrało tyle!...

— Widać, że u Franków i Niemców musi być tego jak plewy! Szwagier mój całą niemi założył ścianę i powiada, że nieposiada ani tysiącznej części tych, jakich jemu potrzeba. Zobacz, jeżeli chcesz... przekonasz się... O...

Otwartem było okno od izby, w której się bibliote-

ka doktorska mieściła. Stojan palcem pokazał. Grek oczami w kierunku stojanowego palca pobiegł i musiał dać wiarę oczewistości. Chciał się jednak w wierze utwierdzić.

— Więc tu były książki?—zapytał na paki ukazując.

— Cóż innego!...
— Nie tylko książki?
— Lekarstwa i naczynia.
— Skądże jakaś woń?
— Co za woń!... Chybaś wąsy w czym woniejącem maczał.

— Ale te znaki?...
— Hm, znaki... Mówię ci, że to pieczęcie.

Pieczęć, wiedzieć potrzeba, ma na wschodzie wielkie znaczenie. Mniemanie powszechne przypisuje jej siłę tajemniczą. Zastępuje ona podpis. Wschodniowcy nie podpisują się, ale pieczęć przykładają, z wyrzeczem na niej imieniem. Pieczęć nieodstępnie znajduje się przy osobie człowieka, mającego z pisaniem do czynienia. Zabrać mu ją, znaczy zgubić go, w razie bowiem takim, podpis jego staje się własnością obcą, wydaje go na pastwę najstraszniejszych cyrografów, jakiegoś się podobalo wystawiać na niekorzyść jego.

— Pieczęcie—powtórzył Grek.

— No, tak... to przecie wyraźne. Z pieczęciami ty pak nie dostaniesz, boć, wiesz, co ty, to ty—a co Manuaki, to Manuaki. Paki przy pieczętowano dla niego a nie dla ciebie. Rozumiesz?

— A przegródki?

Stojan się roześmiał; nazwał Greka głuptasem wielkim i wytłumaczył mu, że gdyby nie te przegródki, to słoje i flaszki różne szklane byłyby się potłukły na harabach.

Nastąpił targ. Jakkolwiek cena przez Stojana naznaczona wysoką nie była, ponieważ jednak Tiutundzi intencji kupowania nie miał, znalazł ją zbyt nieciekawą. Paki pozostały własnością doktora. Kir Michałaki udał się do mudira z raportem...

Cóż jednak do raportowania było?

— Te paki, *effendim*...

— E?...
— Tfu—kiwnął głową i machnął ręką.

— Dowiedziałeś się, co zawierały.

— Cóż?...
— Książki.

— Być nie może!—zawołał mudir, który sobie nie wyobrażał, ażeby śmiertelnik posiadać mógł książek więcej jak dwie, trzy.

— Nie wierzyłem—odparł Grek. Widziałem jednak oczami własnymi, tak jak teraz oto widzę ciebie, *effendim*. Ściana cała wszędy i w poprzek, od góry do dołu. W oczach się ćmi.

Turek językiem kilkakrotnie emoknął. Spuścił głowę i zamyslił się.

— Stoją w porządku—ciągnął Grek, pomagając sobie gestami—ot tak, szeregi, jedno wyżej, drugie niżej, a jedna obok drugiej ściśnięte tak, iżbyś palca pomiędzy nie nie wsadził.

Mudir dał mu ręką znak milczenia.

Grek zamilkł.

W salamluku urzędowym zapanowała na minut kilka cisza, przerywana jedynie tentnem zegarka, spoczywającego w kieszeni mudira. Mudir myślał, pamięcią przytem pracował, oczy bowiem to zamykał, jakby zagłębiał się sam w siebie, to znów je do góry wznosił i czoło palcami pocierał.

— Hm—odezwał się w końcu. Było coś o książkach;... ale co? Dywan przysłał na papierze rozporządzenie jakieś... ale jakie?..

Znów pamięcią pracował.

Toć papier ten gdzieś jest—wtrącił Grek.

— Jest... a!...

Wykrzyknik mudira wymaga komentarza krótkiego. Po urzędach tureckich archiwa wszelkie przechowywać się w torbach obrocnych, zazwyczaj pod strychem. Torba wisi w bieżnie na ścianie, póki się nie napełni, co gdy nastąpi, odnosi się na strych i zastępuje ją nowa. Po dykasteriach znaczniejszych, przestrzegają w tem porządku niejakego, w razie potrzeby możliwą jest rzeczą odszukanie dokumentu nie zbyt dawnego. Po takich jednak dykasteriach, jak zarnicka, strych otwarty, przystępny dla domowników mudira, nie daje ręką najmniejszej, ażeby poleżało długo to, co się na nim składa. I w domach tureckich z papierów niepotrzebnych robią roz-

liczny użytek. Kobiety haremowe potrzebują form, podkładek, papilotów nawet. Przytem torby, jest to artykuł cenny—szkoda wydawać je na pastwę butwienia, kiedy służyć mogą na co innego; zabierają się więc, a przechowywane w nich dokumenta wyrzucają się gdzie w kącie, z którego je myszy po gniazdach roznoszą. Jeżeli przeto archiwów nie zniszczą małżonki dostojnika, to zniszczą je myszy. Urzędnicy dawnej daty rozkazy i rozporządzenia wszelkie władzy wyższej przechowywali w głowach. Mudir zarnicki był urzędnikiem nowej daty i dla tego, nie przechowywawszy w głowie rozporządzenia tyżącego się książek, z drugiej zaś strony, nie zabezpieczywszy onego od małżonek swoich i od myszy, znalazł się w ambarasie niemałym.

Myślał, rozmyślał.

— Taka moc książek. — tu palec sobie na czole oparł, jakby przez to chciał rozbudzić działalność rozumu. Taka książek moc!.. Co w nich może być?.. Czy w nich piszą za koranem czy przeciw koranowi?...
Uśmiechnął się i z pewnym rodzajem tryumfu spojrział Kir-Michałakiemu w oczy. Postawił kwestję na gruncie właściwym. Zapytał:

— He?...
Grek ramionami ścisnął. Nie czuł się w materii tej kompetentnym, do dawania odpowiedzi. Więc mudir sam rozmyślał, dalej głośno:

— Za koranem? nie, boć są to książki przez giaurow pisane... a zatem przeciwko koranowi. Inaczej być nie może. Bo, gdyby to jedna, dwie, to jeszcze; ale moc taka! Powiadasz, ściana cała od góry do dołu, wzdłuż i w poprzek?
Grek odpowiedział skinięciem potwierdzenia.

— A jakie: duże, małe?

— Różne, są mniejsze, są i większe. Jedną ujrzałem na stole, rozłożoną. Ot taka.

Pokazał palcem w powietrzu rozmiary *in quarto*.

— O... hm. A zatem, nie pozostaje nic innego, jak zabrać i...

— I co?—zapytał Grek.

— Utopić... nie... Spalić chyba... He?...
— Uhm... *sen bilir*—odpowiedział zapytany, popierając odpowiedź swoją gestem oznaczającym, że w rzeczy samej, nie pozostaje nic innego.

Miał jednak jeszcze uzupełnić swój raport, to jest, zdać sprawę z wrażenia, jakie sprawiały na nim znaki na pakach. Opisał znaki te jak mógł najdokładniej, dodając w końcu, że są to pieczęcie angielskie i że książki pod temi przyszły pieczęciami. Mudir tej części sprawozdania przysłuchiwał się z uwagą natężoną. Gdy Grek skończył, Turek głową wstrząsnął, odsapnął i rzekł:

— *Olmaz*.

— Co?...
— Tych książek palić nie można.... Pieczęcie,...

o!...

Ujął dwoma palcami odzież swoją na piersiach i potrząsał nią, jakby z niej pył lekko strzepywał. Głęboko rozliczne ma znaczenia, pomiędzy innemi to, gdy człowiek dosadnie chce wyrazić, że nie ma zamiaru licha zaczepiać. Następnie dłoń podniósł, palce roztworzył i w tył niemi rzucił.

— Ten turysta... o!... Anglik. Pieczęcie angielskie... o!... Ph!...

Prychnął niby kot.

— Ale, dodał—trzeba doktora tego mieć na oku... Cóż w tem jest. Jeżeliby się co pokazało, odnosię się do Ruszczuku. Niech lepiej *kalabalyk* na paszę spada. Pasza to tam wie o pieczęciach i o wszystkim. Michałaki, nagładanie, to rzecz twoja. Chodzisz za dziewczynką, chodź-że i za bułgarskimi knowaniami.

— Nie frasuj się tem, *effendim*—odparł Grek tonem przeświadczenia o wartości własnej. Ja nie pofolguję. Do czego się Michałaki weźmie, tego, zginie chyba, jeżeli nie dokona. Dojdę ja wszystkiego, jak doszedłem pieczęci tych. Ciągnąłem za język słowko po słowku, aż wyciągnąłem.

— Doktora?...
— Nie. Ten się zwabić nie dał.. ostrożny!... lis!

Miałem jednak do czynienia nie z gorszym jak on.

— Ze starym?...
— A!—cmoknął i w tył głową rzucił. Co stary!..

Miałem do czynienia ze Stojanem.

Mudir oczy otworzył, nadając im wyraz zapytania.

— Stojan to głowa. W rodzie Szumlańskich, ba

na całej mahale bułgarskiej, on najrozumniejszy... Wszystko umie, a jednakże, jakim go zaczął zachodzić i obchodzić, to i wyciągnąłem z niego wszystko, co mi potrzeba było...

— To znaczy, że i ty masz głowę.

— Ja się nie chwale. Prawda jednak prawdą, ukryć jej nie sposób. Niechby kto inny był na mojem miejscu i spróbował Stojana w pole wyprowadzić...

— To Stojan za głowacza pomiędzy Bułgarami tutejszymi uchodzi.

— A no, tak. Był w Bukareszcie.

— A nie ma on czasem... wiesz? porozumienia z tymi, co to... o?

W zapytaniu tem, wyrazy stanowiły wiązanie znaków mimicznych, które opisać trudno.

— Phi—odpowiedział Kir-Michałaki, ściskając ramionami i podnosząc brwi. Nie przysięgałbym, że nie ma. Jeździł po doktora, przyjechał z Anglikiem. Ruszczuk, Szistów, były mu na drodze. Nie bez tego, żeby nie zetknął się z jednym, z drugim. Czego jednak nie wiem, tego nie wiem, ale dowiem się... z pod ziemi wydobędę. Ja na Bułgarów mam tu!.. Stuknął palcem po sercu.

— Pomimo, że ci się zachciewa mumiicy bułgarskiej.

— To co innego, *effendim*, a tamto co innego... Niewiasta, w zakonie naszym, gdy za mąż wychodzi, to się wyrzeka ojca, matki, brata, siostry a idzie za mężem. Ja się zakonu mego wiernie trzymam. To się nie tyczy jedno drugiego.

— *E... pek ii*—rzekł mudir, kończąc konferencję, która trwała dość długo.

Z konferencji tej doktor a właściwie zbiór książek jego, wyszedł obronną ręką. O doktorowej ani wzmianki nie było. Za to Stojan, którego czytelnik ma zapewne za istotę, nie mogącą żadną miarą zaliczać się do rodzaju ludzi niebezpiecznych, stanął w oświetleniu jaskrawem tego gatunku indywiduów, które znanymi są we wszystkich językach oficjalnych pod ogólną nazwą burzycieli porządku i spokoju publicznego. Zaciążyło na nim podejrzenie wzmożone podejrzywaniem go o rozum, podczas kiedy pod względem tym, był on Bogu ducha winien. Podejrzywano go jednak, najprzód o rozum, następnie o zbrodnię, do jakich on prowadzi. W tem znajdowała się konsekwencja. I Bułgar? i rozumny? Mógłże on, w oczach administratora tureckiego i sprzymierzonego z nim Greka, do zbrodni nie kroczyć!...

Drogą tą niebezpieczeństwo do doktorowej się zbliżało z jednej strony.

A zbliżało się jeszcze i z drugiej.

Razu pewnego, w porze przedpołudniowej do salamluku urzędowego wszedł babo Mussa. W salamluku, oprócz mudira, który siedział na dywanie, na miejscu poczesnem, znajdowało się jeszcze kilku Turków, przybyłych dla załatwienia interesów jakichś. Wszyscy osłupieli ze zdumienia, ujrawszy starca, który za pamięci ludzkiej nigdy, pomiędzy wschodem a zachodem słońca, budy swojej na rynku nie opuszczał. Mudir i wszyscy obecni gęby pootwierali. Starzec nie spojrzął na nikogo, usiadł na dywanie, nie przemówił ani jednego słowa, posiedział kwadrans blisko, wstał i wyszedł.

— Cóż to było? co to znaczy?—zapytał mudir obecnych.

Zapytani milczeli; po chwili dopiero, jeden z Turków, człowiek sędziwy, przypomniał sobie, że kiedyś, bardzo dawno, gdy dżuma przyszła miała, babo mussa tak samo w dzień z budy wyszedł. Stąd wniosek i trwoga. Minęło jednak tygodni kilka, dżuma nie przychodziła, uspokoiło się.

Po tygodniach wszakże kilku powtórzyło się to samo. Znów babo Mussa nawiedził mudira, nie nie rzekł, na nikogo nie sporządził; chrząknął i wyszedł. Chrząknięcie stanowiło różnicę całą pomiędzy odwiedzinami dawniejszemi a temi drugimi. Wniosek się powtórzył, powtórzyła się trwoga; lecz czas zatarł wrażenie a ponowiona próba osłabiła znaczenie prognostyku, który za pierwszym razem wydawał się niezawodnym. Poczęto nawet odwiedziły te osobliwe klaszary na karb dziwactwa jakiegoś.

— Taki stary!—mówiono. Był bardzo stary za czasów pierwszej wojny rosyjskiej (pierwszą nazywają powszechnie Turey wojnę 1828-29). Może to on już własny przeczuwa koniec.

W parę miesięcy później, zjawił się babo Mussa

w salamliku po raz trzeci, nie patrzył na nikogo, usiadł, posiedział i odezwał się:

- Ty mudir?..
- Tak jest, babo—odpowiedział zapytany.
- Postawiony przez padyszacha?
- Tak jest, babo...
- Na co?...

— Mudir odchrząknął, zająknął się i odpowiedział starcowi jednym z tych wyrazów, jakich kilka posiada język turecki, co to się zastosować dają do jakiegobądź zapytania.

— Czy nie na to, ażebyś od szkody pilnował ogrodów, które dla wiernych owoc dają?

Po zapytaniu tem, starzec oczy wlepił przed siebie, posiedział jeszcze krótką chwilkę i nie czekając na odpowiedź, wstał i wyszedł.

Zapytanie to komentarza nie potrzebuje. Obecni wszyscy i mudir domyślili się od razu, o co chodzi.

— Hekim-baszi... zięć starego Szumlańskiego—bąknął jeden.

— Chorzy idą do niego—dorzucił drugi.

— Hm—odezwał się trzeci. Jak iść nie mają, kiedy pomaga! Ot mnie samemu tak się trafiło. Zachorowało mi *momeze*, ja do baby Mussy, babo coś tam dał, dziecko mimo to już, już umierało i byłoby umarło, gdyby nie tamten. Przyszedł, opatrzył, wypytał, sam lekarstwo zadał i od śmierci uratował.

Inny opowiedział zdarzenie podobne z sąsiadem.

— Tak jest—zabrał głos pierwszy. Mimo to jednak, co prawda to prawda. Tamten wlaź w ogród baby Mussy. Babo Mussa prawowitny, a to giaur...

— Tak... prawda—odezwali się chórem wszyscy.

Mudir nie nie mówił, nie mógł jednak nie znać racji tak oczywistej. I on był prawowitnym. Postawił go wprawdzie padyszach na mocy owego *hatihumajun*, w którym napisano stoi, że równą miarą mierzyć należy wszystkim, bez różnicy wiary; lecz dokument ten... myszy zjadły. Zresztą rzecz ta dawna. I seraj padyszacha od myszy wolnym nie jest.

Postanowienie to było i przeminęło, a prawowierność pozostała; pozostały więc i prawa jej odwieczne.

XI.

Różne zmiany.

Mudir zarnicki był to człek rozważny i umiarkowany, co pochodziło, zapewne, albo ztąd, że zaliczał się do stronictwa Młodej Turcji, albo ztąd, że obawiał się pieczęci angielskich. Przypuszczamy prędzej to ostatnie, jak powiedzieliśmy bowiem poprzednio, należał on do gatunku tych ludzi, co to słyszeli, że gdzieś dzwonią, ale nie wiedzą w którym kościele. Bądź co bądź, był on rozważny i umiarkowany. Prawowierca, który na miejscu jego, dowiedziawszy się że się krzywdą prawowiernemu dzieje, wnetby krzywdę naprawił. Doktor był ciężko odpokutował za to, że ośmielił się wleźć w ogród, który babie Mussie owoc dawał. Nasz mudir postąpił sobie inaczej. Nie przedsięwziął nic na rękę własną. Zwołał *mizlisz*, radę municypalną, o składzie której mówiliśmy już poprzednio. Zeszli się Turcy i Grecy. Z Bulgarów nie przybył ani jeden. Pospieszam dodać, że abstynencyja ta nie miała podobieństwa najmniejszego do owej, skutkiem której czeszy deklaranci nie biorą udziału w obradach reichsratu wiedeńskiego. Fakt taki sam z innych płynął pobudek. Czesi nie idą dobrowolnie, Bulgarzy zaś zarnicki byliby przyszli, gdyby ich kto wezwał. Wezwanie zależy całkowicie od woli zwierzchnika administracyjnego, przewodnika legalnego obrad ciała municypalnych. Podobno mu się, zwołuje wszystkich członków *mizlisza*; niepodoba mu się, zwołuje jednych a nie zwołuje drugich. Mudirowi podobało się nie zwołać Bulgarów: ten był więc powód, dla którego nie zasiadli oni w kole, mającemu za zadanie rozpatrzyć istotę czynu, przynoszącego krzywdę babie Mussie.

Koło obradujące przedstawiało widok imponujący. Mężowie, jeden w drugiego, powagi uroczystej pełni: ten białobrody, ów siwiejący, inny z wypisanym na obliczu zgłoskami wyrazem: mądrość. Znajdował się pomiędzy nimi i *imam*, przedstawiciel wyznania proroka, i kapłan chrześcijański, zawiadowca cerkwi miejscowej, i kady szafarz sprawiedliwości. Nie brakowało nikogo; z wyjątkiem Bulgarów, których nie-

obecność prawowierności obrad nie naruszała, albowiem zgromadzeni stanowili większość o wiele wyższą nad komplet. Zeszli się, pozasiadali, fajki pozakurkali, dym izbę napełnił i obłoczystem przezroczem otoczył oblicza sędziwe—mudir posiedzenie zagałę, opowiadając w sposób obrazowy krzywdę, jaka się stała babie Mussie.

— Jest—prawił—w Zarnicy człowiek, co ma na środku rynku budę, do której wchodzi o słońca wschodzi i z której wychodzi o słońca zachodzie. Dla człowieka tego Zarnica jest ogrodem owoc rodzącym. Od czasów niepamiętnych, buda na rynku stoi i od czasów niepamiętnych babo Mussa po dziesięć par pobiera. Ludzie idą do budy jego dobrowolnie, babo nie przymusza nikogo. Wszak tak?...

— Tak odpowiedzieli radce chórem, głowy pochylając. Prawda, święta prawda...

— Wiecie o tem wszyscy?...

— Wiemy.

— Owóż, przybył do Zarnicy, Bóg wie zkad, inny człowiek Bulgar, co gdyby Bulgarem nie był, mógłby być synem baby Musy synem, wnukiem, prawnukiem może, i człowiek ten, Bulgar, przywłoka, niezważając na siwy starca włos, wlaź w ogród jego i owoc obrywa. Ludzie przestali do baby Mussy dobrowolnie chodzić i po dziesięć par mu dawać, pomimo, że buda jego, jak stała od czasów niepamiętnych, tak stoi. E?...

Zapytanie ostatnie było wyzwaniem członków *mizliszu* do dawania opinii o przedstawionej im sprawie.

Nastąpiło milczenie uroczyste; fajki tylko skwierk lekko wydawały i muchy, kręcące się w dymie, żałośnie brzęczały. Członkowie namysłali się. Aż jeden chrząknął po raz wtóry i cisnął wyraz, niby z procy kamień:

— Wypędzić.

Znów milczenie nastąpiło. Aż chrząknął drugi i powiedział:

— E... *maszala*.

Znaczyło to, że zgadza się ze zdaniem mowy poprzedniego.

Ze zdaniem tego ostatniego zgodził się i trzeci, czwarty, piąty, zgodzili się wszyscy, nie wyjmując tych, co opowiadali o dzieciach i ludziach dojrzałych uratowanych przez doktora od niezawodnej śmierci.

— Hm—mudir na to, głową wstrząsnawszy. Przywłoka ten przybył z pieczęciami angielskimi... E?...

Powiedzenie to zabiło radcom ewieka w głowy. Zamilkli, myśleli, myśleli, poważne ich oblicza otaczał nimb zadumy głębokiej, po czołach pochylonych, po oczach otwartych znać było, iż tkają na warsztatach mądrości; myśleliby do dnia sądnego, gdyby mudir milczenia nie przerwał.

— Odniesćby się do paszy? he?—zapytał. Przedstawić mu rzecz całą i niech pasza da rozkaz?...

— Hm—odparł jeden.

— Hm—powtórzył drugi.

— Hm—podechwycił trzeci.

Jeden po drugim głos zabierał, i każdy powiedział to samo „Hm“ obiegło z ust do ust do koła, oznaczając że wniosek mudira uzyskał aprobację jednomyślną.

Ponieważ na porządku dziennym nie było spraw innych, obrady *mizliszu*, którym pod względem powagi i porządku nie zdaje się zarzucić nie można, zamknęły się. Pozostawało napisać przedstawienie i wyprawić takowe do Ruszczuku. To jednak należało już do mudira całkowicie i wyłącznie. Z radców mało który pisać umiał, a przytem posiadali oni tak nieograniczone do postawionego przez rząd zwierzchnika zaufanie, że zgadzali się z nim z góry we wszystkim i na wszystko. Coś podobnego w samej Turcji tylko znaleźć można. I zarzucają jej... nieporządek!...

Kir Michałaki, jako członek *mizliszu*, brał w obradach udział. Po zapadnięciu uchwały, rozeszli się wszyscy i on miał się ku odejściu, ale mudir dał mu dłonią znak—pozostał. Fajkę wytrząsł, kapeciuch za pas włożył, i czekał.

— No, Michałaki, wybieraj się ty do Ruszczuku.

— Ja?...

— Powieziesz papier i staniesz przed paszą z gębą.

Grek oczy zamrużył, językiem cmoknął i w tył głową kiwnął. Oznaczało to odrzucenie propozycji.

— Czemu?...

— Nie mogę, effendim...

— Z paszą się rozmówisz, a ty wiesz że rozmawianie z paszami bywa niekiedy znalezieniem skarbu na drodze.

— Wiem ja o tem, ale... u...

— Przeszkadza ci co?...

— Nic mi nie przeszkadza.... Ot... he... to... nie... nie mogę... Zachodzi przyczyna taka...

— Co za przyczyna?—nalegał mudir.

— Przyczyna...

— Tycząca się handlu, czy poboru?...

— Nie—odrzekł z westchnieniem. Przyczyna.

— Jakaż przecie?...

— Taka sama jak ta, dla której ogrodnik, jeżeli chce mieć kapustę głowiastą, to ją podlewać musi.

— Hm... jeżeli tak—rzekł mudir, ramionami i brwiami ruszając. Poszlę kogo innego... Ty na doktora spoglądaj.

— Ja ztąd wprost pójdę do niego...

— Nie powiadaj mu wszakże, że na *mizliszu* o nim mowa była, bo to te pieczęcie.

— Jeszcze co!... Wiem ja co, kiedy, jak i z kim gadać.

Rozstali się.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGŁĄD PIŚMIENNICZY.

Na *pochyłości*. — Powieść w dwóch tomach, napisał Bolesław Krut (Edward Lubowski). — Warszawa, 1874 r.

Powieściopisarze polscy nie są w ogólności zwolennikami maszyn skomplikowanych pod względem ilości i różności tak osób, jak interesów. P. Lubowski w powieści niniejszej, poszedł drogą mało dotąd na polu beletrystyki naszej uczęszczaną, takie mnóstwo nagromadziwszy faktów i sytuacji, że tem wielce nawet utrudnił z dzieła swego sprawozdanie, które ażeby było we wszystkich szczegółach wyczerpującem, musiałoby stać się rozprawą, o co tu zapewne czytelnikom, a raczej czytelniczkom, mniej ciekawym sprawozdania, niż samej powieści, nie chodzi.

Jakoż staje on z lunetą obserwatora, przed jakimiś dwunastą laty, nad błogosławionem królestwem Galicji i Lodomerji, badając *à-vol-d'oiseau* różne objawy społeczne; zkad na soczewce jego lunety zarysowują się rozmaite grupy i ich stosunki, jako to: najliczniejsza grupa szlachty, mniej liczna grupa możnowładców, stosunek jednych do drugich, stosunek wreszcie szlachty do Niemców i Żydów. Ażeby te stosunki ekonomiczne, a więc zostające w sferze prozy, wprowadzić w sferę poezji, daje im autor za pośrednictwem stosunki uczuciowe, z których znowu wytwarza się co najmniej, jakiś kadryl romansowy, ze wszystkimi figurami psychicznych perypetyi. Oprócz tego, jeszcze w całą tę kombinację wsuwa się nowa kombinacja, zewnętrznie tylko w prawdzie przycepiona, *pièce-à-tiroir*, czyli powieść w powieści.

Trzeba się czuć dobrze na siłach, ażeby dobrze manewrować tak liczną i różnolitą armią, z którą nieraz i bieglejsi od pana Lubowskiego wodzowie kapitulowali wobec zwyczajkiej nudy czytelników. Obawiamy się więc co to będzie z tak mało doświadczonym wodzem, który istotnie zadanie swe postawił na *pochyłości*.

Pochyłość znowu, na której trzyma swych bohaterów, w tem także niekorzystną jest dla autora, że od czasu opisywanych przezeń stosunków ekonomicznych, aż do dziś, zmieniła ona znacznie punkt ciężkości: ale jest-to niekorzystny wspólna większej części tak zwanych powieści tendencyjnych. Zwracając one mocną uwagę w chwili trwającego objawu, który im służy za przedmiot, a z chwilą jego przerywania lub modyfikacji, tracą na zajęciu, jeśli ich ogólne prawdy, ludzkie i estetyczne, nie podtrzymują. Waleczy ta okoliczność przeciw tym, co uilitytyzm chcą uczynić naczelnym wodzem beletrystyki: za czem nie idzie jednak iżby powieść oddzielała się od fenomenów życia społecznego; to jej owszem za-

danie nader pożądane, a szczęśliwe połączenie ich z tłem niewygodnym duszy ludzkiej — to tryumf powieści.

P. Lubowski ma to przynajmniej za sobą, że w świecie który opisuje, nie staje jako zimny inkwizent, lub uragliwy świadek, ale jako współczujący boleściom obywatel, który, jeśli wytyka i przeklina, to z miłości ku tym co folgują mu stają się jego ofiarą, a o moralnym ich podniesieniu się nie wątpi. Nazwę jego powieści nadaćby można „Samobójcy“ tak dobrze jak „Na pochyłości“, ale przyczyną tego samobójstwa, według przedstawienia autora, nie jest jakaś natura wyrodna i występna, jak raczej dziwna słabość charakteru, głównie znamionująca się nieoglednością. Tyle co do ogółu ludności, szczegółów bywają rozmaite.

Głównym też przedstawicielem tej wady charakteru jest tu średni szlachcic, Ślizgalski, nieogledność uosobiona, przy najlepszym sercu i najprawdziwszych instynktach, twórca wielu nieszczęść swoich i cudzych, bezmała ruiny rodzinnej. Słabość uczyniła go uległym żonie pnącej się wyżej stanu, słabość odciąga go od pracy około roli, a wciąga w rozgąłżone po kraju naszym bractwo nieustającego pragnienia, skutkiem czego następują coraz liczniejsze wizyty i rewizyty starozakonnego lichwiarza, zakończyć się mające subhastacją majątku na rzecz jego, lub sprzedażą z wolnej ręki wspaniałomyślnemu nabywcy z nad Sprei. Rzecz tak przedstawiona wyglądałaby na moral ekonomiczny, gdyby autor nie wcielił doń zarazem dramatu rodzinnego, tak jak to uczynił Zacharyasiewicz w powieści „Na Kresach“, z tą różnicą, że tam przedstawiona jest zarazem świadoma walka o byt, — tu poddanie się następuje bez walki, gdyż rozważa przyszła w chwili kiedy walka była już niepodobną. Pozostaje więc tylko ratunek stojący zewnątrz tej katastrofy ekonomicznej, a spoczywa on w ręku córki Ślizgalskiej, Felicji. — Dwa te żywioły jednego obrazu splatają się nierozłącznie od samego początku powieści, ciągnące się przez dwa grube tomy, aż do końca, wbrew licznym epizodom i zmianom scenariusza; tembardziej że i wadliwa ekonomia uczuciowa ma tu również swoich przedstawicieli i swoje katastrofy: słowem dwie te strony trzymają się z sobą ściśle, jeżeli nie we wszystkich przypadkach wykończenia, to przynajmniej w pomysłach, co już jest rzeczą ważną.

Gdyby Felicja była dzierlatką bez myśli i woli, za jaką podawać ją chciała matka, cały proces autora byłby prostą receptą dla rodziców na poprawienie podupadłej fortuny. Bo oto o jej rękę stara się bogaty a gospodarny baron Florestan von Wetter, przez przodków jeszcze umiejscowiony przybłęda, którego jedno dotknięcie ręką zbrojną w banknoty, może postawić na nogi chwiejącego się teścia i zapewnić przyszłość reszcie drobniejszego rodzeństwa Ślizgalskich. Ale Felicja czuje się w swej godności ludzkiej osobą, nie rzeczą, i sprzedaje się nie myśli, tembardziej że siłę oporu czerpie w miłości dla innego, i w poparciu. Jakkolwiek słabym, ojca, który ma instynktowny wstręt do owego, przez matkę znów forytowanego konkurenta.

Ale któż to jest ten inny co pozyskał sobie serce wzorowej dziewczyny? Oczywiście, wzorowy młodzieniec, Henryk Modlicki; tylko że sam przez się zbyt ubogi, właściciel jednej wioski, ażeby mógł zadość uczynić położeniu, o którym wreszcie i nie wie. Kiedy ruina już wisi nad samą głową w postaci nienigietego Szmula Silberberga, Ślizgalscy chwycić się muszą heroicznym środków. Matka obstaje za wydaniem Felicji za Wettera, który według niej jest doskonałym gentlemanem, posiadającym rozległe włości i kapitały; ojciec z pogardą myśli o sprzedaży ukochanego dziecka, stara się o pożyczkę u sąsiada, którym jest bogaty książę Michał, ale tam doznaje tylko upokorzenia. — Otóż tu już zaczyna się ukazywać dodatnia, że tak powiem, narodowa strona charakteru szlachcica. Ślizgalski w upadku podnosi głowę; walczy przeciw nieszlachetnej rachubie żony, odpycha ofiarę podaną z ujmą jego godności, zasłania dziecię przed gromem; czuć w nim zwycięstwo zasady uczciwej, bodajby opłacone zgubą indywidualną; i takim też wytrwał aż do końca: grzeszny, ale pokutujący z godnością. — W tej właśnie najboleśniejszej alteracji spotyka się z Modlickim, który na wieść o stanie rzeczy oświadcza się, ku wielkiej radości ojca, o rękę córki, i prosi o zwłokę dwumiesięczną dla zyskania summy po-

trzebnej na zaspokojenie wierzyciela, po którą wyjeżdża daleko, złagodzenie przez ten czas zawziętości Silberberga przyjmując na siebie.

I Henryk dotrzymał słowa; ale... tu nie obawiamy się o upadek autora, który niezawodnie byłby nastąpił, gdyby to dotrzymanie słowa pogodziło i zakończyło wszystkie interesa. Nierząd całego życia nie załatwia się tak gładko, a jeżeli przypadkiem się załatwi, to takie załatwienie służyć nie może za wzór: kto pracował na ruinę, ten się ruiny doczekać musi, w tej lub innej formie; jest to w logice rzeczy. Inaczej, w cożby się obróciły prawa rządząca światem tak materyalnym jak moralnym? Ani Ślizgalski, ani Henryk, nie mieli skorzystać z tego pozornego uśmiechu doli: Felicja została sprzedana.

Dlaczego Henryk?... Tak: jak tam bierze górę nemezis ekonomiczna, tak tu nemezis uczuciowa, która nas wprowadza w nową sferę idei. Henryk nie był bez grzechu. Lekkomyslna znajomość jego z księżną Michałową, Zofią, oparta nie na uczuciu z jego strony, lecz na namiętności, doznała przesytu, w chwili zwłaszcza kiedy prawdziwe uczucie zawładnęło jego sercem na widok Felicji. Henryk stanął przed nią uwolniony wprawdzie z poprzednich więzów, stosunek swój względem Zofii postawił na czysto; ale stosunek ten w moralnej swej naturze był takim że nie mógł czegoś z siebie nie zostawić na dalszej doli Henryka.

Dziwna rzecz! Francuzi w swej belletrystyce okazują się nader wyrozumiałymi na tego rodzaju stosunki, *où le coeur n'est pour rien*. — To jakaś praktyka zwyczajna, będąca w porządku rzeczy, ażeby młodzieniec nim się ożeni, *pobawił się* nieco, a potem jednym skokiem od miłości do miłości przeszedł jak nigdy nie. Co większa, widzimy tam nawet ojców rozprawiających z synami o podobnego rodzaju sprawach, nie tylko z pobłażaniem, ale nawet z zachętą. *Serce* tylko niezmiernie bronią od udziału. Co za nonsens! Niby to serce nie kruszy się na odrobiny w takich utarczkach; niby to życie nie psuje się, chodząc drogami fałszu i bezprawia; niby to w stosunku takim obejdziesz się bez jakiegoś rozdarcia duszy, bez plamy na czci ludzkiej. — Belletrystyka jest, oczywiście, odbiciem się obyczajów środka z którego wypływa: to też skutki tych obyczajów dziś już nareszcie nie są tajemnicą. Naród tak wysoko uposażony od natury w przymioty umysłowe i bogactwa fizyczne, upada skutkiem trybu życia.

Powieść polska, na szczęście, nie plami się etyką podobną; — i autor niniejszej z prawdziwym taktem potrafił nie tylko uszanować prawa moralne, ale i logiczną działalność ich wykazać. — Sprowadza on na postępowanie Zofii okoliczności łagodzące, a mianowicie najsmutniejszy stosunek do męża, który postępowaniem swem niejako uprawniona oddalenie się żony. Nic to jednak nie pomoże: cudze winy nie gładzą naszych, każdy za swój obowiązek odpowiada osobiście: Zofia musi do dna wysączyć czarę swojego błędu, przeżyć chwile rozczarowania, wysłuchać poszeptów zgryzot, i bez nadziei, śmiercią przedwczesną zamknąć życie zdrożne. Tym tylko kosztem opłacie może zatrzymanie sympatyj ludzkiej i powrót szacunku.

Opuszczona przez Henryka, zachowała dlań przyjaźń i dopomógł mu chciała podczas jego nieobecności w komplikacjach z Felicją. Prawo moralne nie dopuściło tej nagrody, tego dobra z ręki skażonej występkiem. To co miało być pomocą, stało się właśnie główną przyczyną katastrofy. Felicja, podburzona świeżo posłyszana plotką, wdanie się Zofii uważa za obrazę swego uczucia; nie wiedząc jaką ofiarą nprzedził Henryk zbliżenie się do niej, oskarża go w duchu o fałsz i zdradę; odrzuca więc jego starania, a rozrywana groźbą ruiny domowej, sama teraz przyspiesza oddanie ręki Wetterowi, i nie czekając zwłoki wyznaczonej przez Henryka, zostaje żoną nienawistnego.

Chwila szalu wywołuje ofiarę, ale ciężkiem jest życie ofiary, i takim było życie Felicji z mężem. Zawiedziony w pysznych nadziejach Wetter że żonę będzie mógł nagiąć do swej woli i wymódz na niej uczucie, którego mu nie ofiarowywała, chce ją do swych widoków zmusić wszelkiego rodzaju szykanami; a przedewszystkiem, korzystając z niedopatrzności Ślizgalskich, wywłaszcza ich z majątku i rzuca na bruk. I tu więc autor, wierny snadź jednej myśli, wykazuje powagę zasady nad rachubą fałszu.

To, co z poświęceniem najdelikatniejszych uczuć dziecka, miało być najwyższym zadowoleniem ambicji matki, staje się teraz bezowocną dyplomacją wydzierającą tylko z piersi nieszczęśliwej kobiety śmiertelną skargę przeciw sobie samej. Pomimo spóźnionego zwrotu do właściwych uczuć rodzinnych i skupienia się w miłości przeciwko nędzy, umyślnie ukrywanej przed córką, widok ofiary zabija matkę nie poprawiając losu córki.

Otóż przez jaką to filijację wypadków przeprowadza autor następstwa jednego tylko błędu, tak ze strony ekonomicznej, jako i uczuciowej. Dotąd przyznać musimy mu przynajmniej zdrowe pojęcie przedmiotu i logikę w rozwinięciu zasad na jakich przedmiot ten opiera. — Mogłoby to wprawdzie być i bywało inaczej, ale to niczego nie dowodzi. Są przecież konstellacje oszustów i złodziei używających owoców prawnych z dzierstw w spokoju sumienia, przez politykę nawet nie zamącanym: ale każdy wie o tem że to jest obrazą praw, i wytyka ją jako taką. Są więc lekkomyślności, błędy, a nawet występki wykradające się logice prawa moralnego, ale to tylko chwilowo i złudnie: kto by chciał zadać sobie trud, i głębiej zajrzeć w grunt rzeczy, mógłby za każdym razem dopatrzeć się nemezis.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika naukowego, artystycznego i przemysłowego ruchu kobiet.

Stowarzyszenie pracy kobiet, które za granicą a szczególnie w Anglii, Holandji, Czechach i Niemczech, tak wielką jest pomocą dla kobiety pracować chcącej, w naszym mieście szło dotąd mało szczęśliwie i neliczne jego próby nie przyniosły spodziewanych a możliwych korzyści. Zakład przemysłowo-rękodzielniczy p. Szmit, zamierzający być stowarzyszeniem takim, bardzo niedługo miał istnienie, a nie pora już dziś rozstrząsać z czyjej mianowicie winy. Istniejąca obecnie Spółka połączonej pracy kobiet przez niejasność swego programu nie obudziła tej ufności, jaką koniecznie spółka każda na szersze koło stowarzyszonych liczyć chcąc, pozyskać musi. Statut Spółki nie zdawał się obiecywać stowarzyszonym tych korzyści słusznego rozdziału zysków, na jakie w zakładzie, spółką się mieniącym, rachować mogły. Ogłoszone w zeszłym miesiącu sprawozdanie roczne Spółki nie wykazało nic, na stronę instytucji tej więcej przemawiającego, a podane zbyt ogólnie, nie pozwala zbadać czynności swoich tak szczegółowo, aby zakład mógł zostać w opinii publicznej jasno scharakteryzowanym, czy jest istotnie takim stowarzyszeniem, które w interesie wszystkich pracujących w nim osób działa, czy tylko zwyczajnym zakładem przemysłowo-handlowym, jedynie spółką przedsiębiorców przedstawiającym. Podług cyfr sprawozdania pokazuje się że pracowało na rzecz Spółki 61 kobiet, które za pracę swoją otrzymało 3,516 rs. 44 kop. wynagrodzenia, czyli po 57 rs. 65 kop. na osobę, gdy zaś siedem osób stanowiących zarząd spółki, otrzymało 1,696 rs. czyli po rs. 242 na osobę. Cokolwiek bądź Spółka połączonej pracy kobiet mogłaby na usprawiedliwienie swe przytoczyć, w żadnym razie nie można przypuścić, aby praca przynosząca 57 rs. rocznie w mieście tak drogiem jak Warszawa, mogła być dobrem tejże pracy wynagrodzeniem — nie ziszczają się wcale świetne obietnice, stawiane niegdyś w programie stowarzyszenia i niepodobna przy najlepszej chęci uznać, aby został zrobiony krok choć najmniejszy do tej niezależności pracy, do tego wyzwolenia jej z pod przewagi kapitału, jakie Spółka przyrzekała i do jakiego obowiązaniem jest z natury swojej stowarzyszenie wszelkie, bo obowiązkiem jego jest działanie na ogólną członków swych korzyść. Spółka połączonej pracy kobiet rozszerzyła swe czynności przez zaprowadzenie kantoru strzeżeń i kasy pożyczkowej dla pracujących kobiet przyrzeka niemiennie, że w roku bieżącym lepiej się wywiąże ze zobowiązań przez program swój i naturę instytucji na siebie przyjętych. Daj to Boże. Ogólna tylko interes w spełnieniu tych obietnic, dlatego też całym sercem ich sobie życzy i nie rad doczekać

się zawodu. W każdym razie sprawozdanie jaśniejsze, charakter więcej administracyjny szczegółowości noszące, jest pożądanem.

Gdy to co jest, nie wywiązuje się dostatecznie z zadania swego, za dobrą nowinę uważać trzeba zamiary nowej na tem polu działalności. Otóż taką nowinę dobrą, co do stowarzyszenia pewnych gałęzi pracy kobiecej, możemy donieść czytelnikom naszym. Krzątają się w tym kierunku ludzie dobrej woli i przypuścić należy, że pocziwie chęci staną się wkrótce czynem pocziwym. Skoro tylko otrzymane od rządu pozwolenie, da możliwość wprowadzenia nowej współpracy kobiecej w ruch czynny, pismo nasze natychmiast czytelniczki swe zawiadomi.

Ale praca kobiet u nas nietylko szczęśliwych warunków przy samem już pracowaniu potrzebuje — potrzeba jej również i tej nauki, któraby zdolność pracy podniosła, a w tym kierunku postęp choć wolny niezmiennie, istnieje przecież. Zaliczyć do niej można szkołę realną przy ul. Waleiców N. 8 przez pannę Kawecką prowadzoną, a bardzo szczęśliwą w swym pomysle. Panna Kawecka mieszczać szkołę swoją w dzielnicy miasta, zamieszkałej głównie przez ludność pracującą w zawodach przemysłowo-rękodzielniczych, już jej dobrze obrane miejsce dała. Drugim a wiele ważniejszym przymiotem jest to, że szkoła ma obecnie tylko klas dwie, chcąc bowiem prowadzić rzecz gruntownie, trzeba jej dać tę jednolitość, którą otrzymać jedynie można przy planie dobrze od początku obmyślanym. Panna Kawecka zdaje się plan taki posiadać, i to co jest jego pierwszym zaczątkiem bardzo dobrze wróży o stopniowym przeprowadzeniu go w przyszłości. Szkoła panny Kaweckiej liczy obecnie uczennice trzydziści kilka, nauki w niej wykładane są takie, jakie podług planu obowiązującego, dawane są w dwóch pierwszych klasach średnich szkół żeńskich i obejmują dziennie godzin 4. Nauki rzemiosł i robót kobiecych: jako to kroju sukien i bielizny, szycia ręcznego i na maszynie, szycia rękawiczek, robienia kwiatów, jest dziennie godzin 2, a robota przez uczennice w czasie owych godzin nauki pod kierunkiem nauczycielki wykonywana, jest jej własnością, którą zaraz po wykończeniu rozporządzać może — naturalnie jeżeli materiał do niej należał. Otóż przy urządzeniu takim, dziewczynki zręczniejsze już coś na własną rękę zrobić mogą, i między szyjącymi rękawiczki znajdują się małe robotnice, których zarobek pokrywa opłatę szkolną, 3 rub. sr. na miesiąc wynoszącą. W naukach klasycznych uczennice powinny odnieść korzyść stosowną, bo nietylko p. Kawecka jest osobą wyższego pedagogicznego uzdolnienia, ale pomagając jej nauczycielki i nauczyciele zdolni są dobrze kształcić naukowe młodych umysłów prowadzić. To połączenie nauki z uzdolnieniem do zawodów pracy zarobkowej, jest bardzo szlachetnym pomysłem, któremu największego powodzenia życzyć trzeba. Zwiększona liczba uczennic stanowi o tem będzie, czego przy wymienionych wyżej warunkach spodziewać się należy. Samopomoc podana zręcznie uczennicy, pozwala każdej pracować, choćby ubogiej rodziny córce, gnać sobie światło, które na nieszczęście bywa tylko przywilejem zamożnych, i szkole tak urządzonej trzeba dać zasłużony poklask i szczerze uznanie, bo jest to wsianie w grunt naszego społeczeństwa ziarna bardzo szczęśliwych owoców. Robotnica intelektualnie rozwinięta nie tylko musi w kierunku zawodu swego pracować lepiej, staranniej, sumiennie, ale wyrobienie moralne, które za wykształceniem umysłowym, za podniesieniem myśli, uszlachetnieniem skłonności i usposobieniem idzie, czyż osoby samej podnioślejszą nie czyni? I obecne wyzyskiwanie pracy kobiecej przez przedsiębiorców mniej łatwem byćby musiało, bo robotnica inteligentna lepiejby wtedy prawa swoje obwarować potrafiła. Szczęść Boże usiłowaniam pocziwym.

Pismo nasze doniosło z początkiem roku o Stowarzyszeniu nauczycielek w Krakowie, otóż podług ostatnich doniesień spodziewać się można, że stowarzyszenie się utrzyma i podług założenia wytworzy sobie własne biuro strzeżeń i dom, gdzieby nauczycielki przy zmianie obowiązku wygodne miejsce pobytu, a w razie choroby, upadku sił, wieku późnego, troskliwą opiekę i schronienie znalazły. Można by sobie życzyć aby stowarzyszenie na wzór podobnej instytucji angielskiej o której pismo nasze pisało 1 października 1868 r., zaprowadziło jeszcze wzajemną pomoc naukową, to jest szkołę, w którejby nauczycielki wyżej

kształcić się pragnące sposobność kształcenia tego znalazły. Pedagogiczna taka szkoła niezmiennie korzystnie na los innych stowarzyszonych wpłynęby mogła, bo nieraz nauczycielka taka, która koniecznością losu do wczesnej pracy zarobkowej zmuszona, musi wyższego kształcenia się odstąpić, mogłaby po kilku latach pracy wrócić z uzbieranym fundusikiem do przerwanej zawczasie nauki. Wprawdzie wykłady dla kobiet przy muzeum dr. Baranieckiego istniejące a które obejmują pięć fakultetów zupełnie już wyższego, przez profesorów uniwersytetu prowadzonego kształcenia, otwierają pole nauki wyższej dorosłej już i choćby nawet starszej kobiecie. Stowarzyszenie nauczycielek powinno by przynajmniej zaprowadzić u siebie wykład wyższej pedagogiki, co nigdy nie byłoby zbytkiem, bo nauczycielka przychodząca już z pewnym nauczycielskim doświadczeniem, niezawodnie korzystałaby z wykładu więcej i inaczej, jak młoda uczennica, choćby w najlepszej szkole. Wiek ma najpierw swoje niezaprzeczone prawa, które nazwać trzeba powagą dojrzałej myśli, powtóre każdy zawód jak każda sztuka ma swój mechanizm, który zdobywszy, panuje się dopiero przedmiotowi. Kilka lat pracy nauczycielskiej może jedynie dać mechanizm, nie mówię nauczania, bo ten się nabywa łatwiej przez dobrą metodę własnej nauki, ale prowadzenia dzieci, czyli edukacji właściwej. Otóż nauczycielka tak już doświadczeniem ubogacona, jakżeby korzystać mogła z wykładów wyższej pedagogiki, któraby edukacyjnym jej poglądom szersze jeszcze horyzonty otworzyła.

W naszym mieście stowarzyszenie nauczycielek jest już tylko kwestją czasu. Cały ogół tak osób interesowanych, jak i publiczności czuje jednako, że się należy jakaś pomoc, jakieś zapewnienie przyszłości tym zasłużonym pracownikom, które są duchowymi matkami młodych pokoleń. Pismo nasze wróci w najkrótszym czasie do obszerniejszego rozpatrzenia tej kwestyi.

Z WIEDZY PRZYRODNICZEJ.

Obrazy świata pierwotnego.

(Dalszy ciąg).

Klimaty były nie znane w czasach geologicznych. Jeden bowiem klimat panował wszędzie. Dopiero w okresie trzeciorzędowym, zimno dało się uczuć przy biegunach, w skutek znacznie posuniętego wystygania kuli ziemskiej.

Zkąd pochodziła ta jednostajność w temperaturze? Niezaprzeczenie z nadzwyczajnego ciepła, właściwego wówczas naszej planecie, nie zaś z ogrzewania ziemi przez promienie słoneczne.

Przejdźmy do flory węglowej.

Paprocie dziś będące roślinkami wątłemi, wyrosły wówczas do znacznej wysokości.

Skrzypy nasze z łodygą dętą, okręgowo-gałęziastą, członkowatą, zamiast liści mającą stawy okryte pochwami błoniastymi, ząbkowanymi, dochodziły wówczas wysokości 28 stóp polskich, a 7 do 8 cali posiadały grubości! Pnie tych potężnych skrzypów nazywamy dziś *kalamitami*.

Widłaki obecnie krzewiące się w postaci łodyżek, często płożących się po ziemi, zbudowane prawie wyłącznie z naczyń siatkowatych; nazywane u nas, odpowiednio do gatunku, *czolgami*, *babimorami*, *wroncami*, były wówczas okazałemi drzewami, dosięgającymi stu stóp wysokości! — Do takich należały *Lepidodendrony*, które w epoce węglowej tworzyły wspaniałe lasy. Liście tych drzew przedstawiały długość dwóch stóp polskich, a grubość pni wynosiła trzy lub cztery stopy. Z paproci *Sigillarye* przechodziły wysokością sto stóp.

Trudno wyobrazić sobie coś wspanialszego, okazałego, nad tę bogatą florę węglową, rozpościerającą się od jednego bieguna do drugiego, rozrastającą w temperaturze palącej, wszędzie jednostajnej. W głębi tych lasów dziewiczych, rośliny pasożytne obwieszały się na olbrzymich drzewach tworząc festony artystycznego wdzięku, podobnie jak liany

dzisiejszych lasów zwrotnikowych. Z pasożytów tych odznaczały się osobliwym wykwintem *Sphenopteris* i *Hymenophyllites*, przypominające postaciami dzisiejsze storczyki i rośliny ananasowate.

Była to zapewne roślinność potężna, przedstawiała wielkość i siłę, lecz natomiast nie cechowała się bynajmniej różnorodnością gatunków. Widok jej znudziłby wzrok człowieka jednostajnością kształtów, powtarzających się do znudzenia. Żaden kwiat nie ożywił liści, nie urozmaicał zieleni lasów. Żaden owoc okazał się, mogący służyć za posiłek, nie przejawiał się na gałęziach tej flory, tak bogatej. Zwięzła też ładowe jeszcze nie wystąpiły na widownię życia, — morza tylko posiadały licznych mieszkańców. Niektóre gatunki owadów skrzydlatych z rzędu tegopokrywych, lub żyłkoskrzydłych, ożywiały atmosferę swemi barwami.

Epokę węglową wypada podzielić na dwa peryody, to jest *wapienia węglodajnego*, który dał życie rozległym osadom morskim i *węgla kamiennego*.

Z osadów tego ostatniego głównie skorzystał przemysł człowieka. Roślinność pokrywającą liczne wyspy z pierwszego peryodu epoki węglowej, tworzyły paprocie, skrzypy, widłaki i rośliny dwuliścienne nagonasienne (*gymnospermae*). *Annularye* były drobnymi pływającymi trawami o licznych listkach baldaszkowych, *Sigillarye* przeciwnie przedstawiały się w postaci wielkich drzew, z pnem prostym, uwieńczonym pioropuszem liści wąskich, z korą żłobkowaną, powyciskaną przez dawne liście, nakształt pieczęci (*sigillum*) — ztąd też powstała ich nazwa. *Stygmarye* według niektórych paleontologów, były roślinami skrytopłciowemi, owocującymi pod ziemią. — Znane są nam tylko długie ich korzenie.

W morzach tego peryodu, żyły w niezliczonym mnóstwie zwierzokrzewy, mięczaki, których liczą przeszło 900 gatunków, niektóre skorupiaki i ryby. Z pomiędzy tych ostatnich wymienić wypada rodzaje: *Psammodius* i *Cocosteus*, których zęby mieściły się w podniebieniu, tudzież rodzaje: *Holoptychius* i *Megalichthys*. Mięczaki dochodziły wielkich wymiarów, składały się przeważnie z ramionowców. Najczęściej przejawiały się: *Bellerophon hincus*, *Nautilus Koninekii*, i *Productus*.

Wapień węglodajny tworzy w Anglii wysokie góry, z tego powodu otrzymał tam nazwę *wapienia górskiego*. Nazywają go niemniej *wapieniem metalicznym*, gdyż obejmuje on bogate żyły kruszcowe w Derbyshire i Cumberland. Pokłady jego istnieją w Rosyi, w północnej Francyi, w Belgii i dostarczają marmurów znanych pod nazwą *Flandryjskich*. Warstwy te znajdujemy również w Stanach Zjednoczonych i w Nowej Holandyi. W peryodzie *węgla kamiennego*, brak zupełnie roślin jedno i dwuliściennych, natomiast przejawiają się skrytopłciowe: paprocie, widłaki i skrzypy, o których wspominałem wyżej.

Chcąc wyrobić sobie pewne wyobrażenie o tej epoce, potrzeba nam przenieść się myślą na wyspy Oceanu spokojnego, na Chiloe na przykład, gdzie deszcz pada przez trzysta dni w roku, a słońce zaśłaniają mgły prawie wieczyste.

Jakkolwiek nie liczne były wówczas rodziny flory, to wszakże obejmowały większą ilość gatunków od dziś istniejących. Tak na przykład paproci kopalnych liczymy w Europie przeszło dwieście pięćdziesiąt gatunków, gdy tymczasem obecnie posiadamy ich na naszym lądzie tylko pięćdziesiąt. Rośliny dwuliścienne nagonasienne, składające dziś w Europie dwadzieścia pięć gatunków, obejmowały ich wówczas przeszło sto dwadzieścia.

Z paproci epoki węgla wymienimy gatunki: *Nevropteris heterophylla*, *Odontopteris Schlotheimii*, *Pecopteris aquilina*.

Z widłaków: *Lepidodendron Sternbergii*, *Lepidodendron crenatum* i *Lepidodendron elegans*.

Z skrzypów: *Calamites Suckovii* i *cannaeformis*.

Z sigilaryi: *Sigillaria laevigata* i *pachyderma*.

Z asterofilów: *Annularia brevifolia*, *Sphenophyllum dentatum*, *Asterophyllites foliosa*.

Wzamin państwo zwierzęce przedstawiało się bardzo ubogo. W Ameryce i w Niemczech wykryto kości olbrzymiego płaza, który otrzymał nazwę *Archegosaurus*. Do osobliwości zaliczyć nam wypada niemniej ryby, podobne ustrojem do cechujących warstwy dewońskie (*Holoptychius* i *Megalichthys*), uzbrojone olbrzymią paszczą i potężnymi zębami.

Niektóre owady skrzydlate uzupełniały tę faunę ubogą.

W kopalni węgla kamiennego w Parkfield-Colliery, założonej w 1854 roku, znaleziono przeszło sześćdziesiąt pni drzewnych, mających przeszło 10 stóp obwodu — korzenie ich tworzyły warstwę węgla grubą na dziesięć cali. W zatoce Fundy (w Nowej Szkocji), Lyell geolog angielski, znalazł całe lasy zwęglone — grubość ich pokładu dochodziła do 1400 stóp polskich.

Jak wyjaśnić te kolosalne pokłady węgla, spoczywające w łonie ziemi? — Powstały one prawdopodobnie z lasów zapadłych w przewrotach geologicznych pod ziemię, gdzie ich rozkład nastąpił pod wpływem ciepła wewnętrznego wód naszej planety i ciśnienia na nie warstw wierzchnich. Taką jest przynajmniej opinia znakomitego fizyka angielskiego Tyndalla, który hipotezę tę sprawdzał doświadczaniami.

Pokłady węgla kamiennego znajdujemy we wszystkich prawie krajach Europy i Ameryki. w powiecie Olkuskim, między Dąbrową a Będzinem, istnieje najgrubszy może pokład węgla, dochodzi bowiem 50 stóp. Węgiel nasz bywa zwykle warstwowany naprzemian z szarym piaskowcem lub z gliną łupkową. W Ameryce przecież istnieje najrozleglejsze przestrzenie, obejmujące ten szacowny materiał opałowy.

Po epoce Węglowej następuje Permska. — W zaskorupiałej powłoce ziemi znacznie oziębionej, powstały liczne rozpadliny, przez które wylewały się z wnętrza na powierzchnię materje płynne lub grzeźkie. — Piętrząc się zwolna wyformowały one kopuły i wzgórza, kształtem do olbrzymich naparstków podobne. Wówczas to wydzwignęły się na światło dzienne porfiry i syenity. Góry porfirowe i syenitowe były jednak jeszcze rozpalone w tym stopniu, że na ich powierzchni nie mogła krzewić się żadna roślinność. Wznosiły tem samem nagie swe barki — w innych natomiast miejscach przyodziewała ziemię bogata roślinność z epoki węglowej pochodząca. — Zaznaczyć tu wszelako winniśmy, że porfiry przejawiały się na powierzchni ziemi jeszcze przed okresem węglowym, — w epoce jednak permskiej, najpotężniejsze masy porfiry przedarły się z wnętrza naszej planety.

Obrazy jakie w epoce permu przedstawiała ziemia, godne są niezaprzeczenia pędzla artysty. — Wyobraźmy sobie wytryskujące z łona oceanu snopy wody, zmienionej w parę w skutek ciepła wytworzonego z rozpalonych porfirów i syenitów. — Parata kłębiła się, wirowała nakszałt trąb wodnych. — Wzniósłszy się do pewnej wysokości, zgęszczała się i spadała w deszczach, poczem znowu kłęby jej występowały przy biciu piorunów i błyskawic, rodzących się w potężnych masach parującej wody.

Flora i fauna epoki permskiej, prawie nie różni się od węglowej — przedstawia tylko odmiany poprzednich gatunków. — Z paproci wyróżnia się: *Sphenopteris dichotoma*, *Pecopteris Martinsii*, ze skrzypów: *Calamites gigas*, z widłaków: *Lepidodendron elongatum*, z asterofilów: *Annularia floribunda*, z drzew szyszkowych: *Walchia Schlotheimii* i *hypnoides*, wreszcie *Noeggerathia expansa* będąca gatunkiem pośrednim między Sagowcami a szyszkowcami.

Olbrzymie lasy *psaronius* panowały głównie w tej epoce, walcząc o pierwszeństwo z *Noeggerathiami*.

Morza permskie posiadały bardzo małą liczbę gatunków zwierzęcych, nie różniących się zresztą wielce od fauny węglowej. — Z pomiędzy płazów odznaczał się olbrzymi *Protorosaurus*, podobny do krokodyli afrykańskich.

Z licznych gatunków ryb kostołoskich, wymienić winniśmy *Palaeoniscus*, tudzież *Platysomus*, z mięczaków: *Spirifer undulatus* — *Fenestrella*, przedstawia typ polipów meszkowatych.

Warstwy permskie dzielimy na trzy utwory, przechodząc od pokładów dolnych do górnych, a mianowicie:

Konglomeratu czerwonego, dolomitu szarego (Zechstein) i piaskowca wogezkiego.

Konglomerat czerwony, dochodzący w średniej grubości 350 do 700 stóp, istnieje w Niemczech, Anglii, w Wogezach — nie wiele zawiera szczątków kopalnych.

Dolomit szary w Niemczech i w Anglii, dochodzi grubości 600 stóp, składa się z wapienia szarego przejętego item — w skład jego wchodzi też gips i sól kuchenna.

Piaskowiec wogezki zwykle czerwono zabarwiony, w pokładach grubości 500 — 600 stóp, składa północną część pasma Wogezów.

Utwór permski znajduje się według Puscha, pod Kielcami, między wsią Występną a Zagdańskiem i pod Kajetanowem. — Najrozleglejszą przeciw przestrzeń zajmuje we wschodniej części Rosyi, ciągnąc się od Jarosławia do gór Uralskich. Obejmuje on dziewięć guberni: Wołogodzka, Jarosławska, Kostromska, Wiatska, Permska, Niżnonowogrodzka, Kazańska, Orenburska i Saratowska.

Morza permskie zalewały dzisiejsze pasmo Wogezów, Bawaryę i Wielkie Księstwo Badeńskie — rozciągały się po Szląsk i Saksonię się wiążąc z oceanem zajmującym z jednej strony całą przestrzeń Rosyi. z drugiej środkową Anglię.

W pozostałej części Europy lądy nie wielkim uległy zmianom od epoki Dewońskiej i Węglowej.

We Francyi płaskowzgórza środkowe tworzyły wielką wyspę, ciągnącą się na południe, prawdopodobnie aż do Pireneów. — Skąły Bretoński tworzyły drugą wyspę. W Anglii i Rosyi niewielkie wyspy rozszerzały się więcej ku wschodowi.

Mam teraz przystąpić do skreślenia nowego okresu w historii kuli ziemskiej; otrzymał on w geologii nazwę *Drugorzędowego*. Rzućmy jednak pierw okiem na epokę przechodnią, zbierając głównie charakterystyczne jej rysy.

W epoce przechodniej, rośliny i zwierzęta występują pierwszy raz na widownię świata. Wówczas to w morzach, przejawiają się ryby kostołoskie, opatrzone pancerzem, Trylobity, ciekawej organizacji skorupiaki znikające z końcem tego okresu, dalej mięczaki głowonogie i ramionowce — wreszcie enkriny, przepyszne twory w postaci kwiatów skamieniałych, zdobiące dziś zbiory paleontologów. — Z pomiędzy jednak wszystkich tych jestestw, panami tego świata wodnego są ryby kostołoskie, które puklerz chroni od wpływów szkodliwych ich ustrojowi.

W epoce przechodniej życie zaledwie w kolebce — żaden zwierzę ssący, nie zakłóca rykiem ciszy dolin i milczących lasów dziewiczych — żaden ptak nie rozwija skrzydeł w tej atmosferze zwrotnikowej. — Brak ssaków i ptaków wyraża tem samem brak objawów inteligencji i uczucia — brak tonów melodyjnych wzruszających duszę. — Ryby, skorupiaki, mięczaki, pełzają w milczeniu w głębiach morza. — Nieruchome zwierzęta pędzą życie bezwiedne, pozbawione wrażeń. — Na lądach poruszają się płazy niewielkiego wzrostu, są one niby zwiastunami owych potwornych jaszczurów, które przejawiać się mają w okresie drugorzędowym.

Florę składają rośliny niższego rzędu, wyższy ustrój reprezentują drzewa dwuliścienne, rośliny skrytopłciowe, paprocie, skrzypy, widłaki, które doszły zupełnego stopnia rozwoju.

Też same zwierzęta i rośliny żyją w okolicach zwrotników co i pod biegunami, gdyż nie ma różnic w tym klimacie wszędzie pałającym.

Przez rozpadliny w skorupie ziemskiej wytworzone, wylewają się na jej powierzchnię materje rozżarzone granitu i porfiry, powstają żyły w kruszce zasobne.

W rozwojach życia napotykaamy przejścia niezna czące, zmiany w ustrojach stopniowe. — Flora też i fauna permka nie różni się prawie od węglowej — okazuje to, że przyroda nie niszczyła życia w straszliwych kataklizmach każdej z następujących po sobie epok geologicznych, jak dawniej utrzymywano.

Czyż nie widzimy w naszych oczach odmian zwierzęcych i roślinnych powstających i znikających, chociaż żaden przewrót geologiczny nie ma miejsca? Nie mówiąc już o bobrach tak licznych w Cewenach i na brzegach Rodanu w wiekach średnich, powołamy się tu na kolosalne ptaki Nowej Zelandyi i Madagaskaru, oznaczane w historii naturalnej nazwami *Dinornis* i *Epiornis*, tudzież na Drontę żyjącą jeszcze w r. 1626 na Ile-de-France, które to ptaki dziś całkiem wyginęły. — Jeleń kopalny, wół pierwotny, niedźwiedź jaskiniowy, zwierzęta współczesne człowiekowi, również znikły. — Dziś nauka wyjaśnia wszystkie te przemiany, drogą stopniowego rozwoju ziemi i jestestw ją składających, bez potrzeby szukania pomocy w przewrotach geologicznych. — W epoce drugorzędowej występują przed nami ogromne płazy — one to będą mocarzami panującymi na pobrażach i wodach. — Rośliny tracą swą potęgę, a natomiast ożywi się więcej królestwo zwierzęce.

Geologowie dzielą okres drugorzędowy na trzy epoki: *Tryasową, jurasową i kredową.*

Epoka tryasu otrzymała swą nazwę z tej przyczyny, że pokłady ją cechujące, pielono dawniej na utwory skalne, to jest *piaskowca pstrego, wapienia muszlowego i kajpru* czyli *margla pstrego*. — Dziś rozdzielamy tę epokę na dwa tylko peryody, a mianowicie *Muszlowy i solodajny*.

W epoce tej trylobity znikają, głowonogi i ramionowce mniej są liczne, równie jak i ryby kostołoskie. Natomiast występują *Ammonity*, jestestwa niezmiernie ciekawego ustroju, o którym niżej mówić będę. — Rośliny również się zmniejszają — skrytopłciowe nie tyle są liczne jak w epoce poprzedniej, w zamian rozradzają się szyszkowe. — W morzach i na brzegach jezior, zjawiają się pierwszy raz żółwie i płazy jaszczurowate, dochodzące wysokiego stopnia rozwoju.

(Dalszy ciąg nastąpi).

POKARM DUSZY CHRZEŚCIAŃSKIEJ.

ROZMYŚLANIA BOLESNEJ MĘKI
JEZUSA CHRYSOSTUSA
z dodaniem
MODLITW DO SPOWIEDZI I KOMUNII Ś-tej
ORAZ DWÓCH SPOSOBÓW SŁUCHANIA MSZY Ś-tej

PRZEZ
X. PINART.

(przekład z francuskiego).

Pod tym tytułem wydana książka na pięknym welinowym papierze, znajduje się w Księgarni *Michała Glücksberga* przy ulicy Krakowskiej-Przedmieście, w domu JW. Hr. Krasińskiego Nr 411 (7 nowy), oraz we wszystkich innych Księgarniach tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Cena egzemplarza kop. 82½, z przesyłką pocztową Rs. 1.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się dalszy ciąg powieści *Middlemarch* oraz *Kamiennej Woli*.

TREŚĆ: O tem i owem, (dokończenie), przez Anastazję Dzieduszycką. — Zarnica, (dalszy ciąg), powieść bułgarska społeczna, przez Teod. Tom. Jeża. — Przegląd piśmienniczy, przez Kazimierza Kaszewskiego. — Kronika naukowego, artystycznego i przemysłowego ruchu kobiet. — Z wiedzy przyrodniczej, przez Wincentego Niewiadomskiego.